

Zegar z oleckiego zamku

Zamek olecki (dawna siedziba starosty) wzbudza wyobraźnię każdego, kto chociażby trochę interesuje się historią Olecka, lub lubi przygody w stylu poszukiwaczy skarbów i wykopalisk archeologicznych. Legendarne przejście podziemne, Biała Dama czy też ukryte w pobliskim jeziorze skarby to tematy budzące entuzjazm i krótkotrwałe powroty do marzeń z dzieciństwa o odkrywaniu tajemnic. Jakkolwiek, entuzjazm ten wyparowuje szybko pozostawiając tylko w niektórych niedosyt, moją uwagę przykuła całkiem niedawno następująca krótka notka dotycząca zamku zawarta w monografii „Dzieje Olecka”: *„...Zamek stopniowo popadał w ruinę, tak, że na początku lat sześćdziesiątych XVIII wieku z wieży zamkowej został zdjęty nawet zegar (tzw. Schlaguhr), który następnie za zgodą króla подарowano parafii w Białej. W 1822 roku zamek spłonął i nie został już odbudowany.*”... Notka, która mimo błahości, porusza ważną sprawę dla mieszkańców naszego miasta, nawet, jeśli po zamku nie ma już praktycznie śladu.

Postanowiłam zainteresować się tą sprawą i idąc za powyższą wzmianką zaczęłam się zastanawiać, jakie ziemie obejmowała parafia w Białej i gdzie się ona w ogóle znajdowała? W Białej, Białej Podlaskiej, Bielsku-Białej czy jeszcze gdzieś indziej? Czy ówczesne granice miały znaczenie w kwestii tego podarunku, lub czy podziały nie były w tym przypadku aż tak ważne? Czy statystyki, nazwy, język i narodowość były ważne i są dla dzisiejszych poszukiwań aktualne? Czy przyjąć za słuszne, że podarunek otrzymała raczej parafia ewangelicka i jeśli tak, to czy dziś istnieje po niej jakikolwiek ślad? Metodą prób i błędów wyeliminowałam dwie ostatnie miejscowości i skupiłam się na Białej w swoich poszukiwaniach podpierając się informacją z publikacji „Widoki znad Legi” i uznając, że parafia Biała to nic innego jak parafia Mieruniszki, a ktoś kiedyś omylnie zapisał informację o przekazaniu zegara. Do parafii Mieruniszki należały oprócz Mieruniszek wsie czynszowe Garbas, Borawskie, Judziki, Żelazki oraz majątki Biała i Drozdowo i wolne wsie szlacheckie Bitkowo, Lenarty, jak i Plewki z młynem księżęcym. Zapewne majątek w Białej miał najsilniejszy wpływ na życie parafii, co miało znaczenie przy zapisywaniu informacji o tym, komu zegar został przekazany.

Dodatkowo, na korzyść tej hipotezy przemawia fakt, iż stary, drewniany kościół w Mieruniszkach spłonął jesienią 1656 roku podczas najazdu Tatarów. Donosił o tym pisarz starostwa oleckiego, Chrystian Müller, w piśmie do Fryderyka Wilhelma, kurfirsta pruskiego, co może zaświadczać o tym, że parafia w Mieruniszkach nie była starostwu w Olecku obojętna. Zbudowano nowy kościół, a jego budowę ukończono w roku 1710. Według historycznych źródeł i widocznych jeszcze dziś pozostałości *posiadał on dach o tzw. namiotowej konstrukcji, szeroką spadzistą wieżę oraz ostrołukowe okna świadczące o tym, jak na tych peryferyjnych terenach pogranicza polsko-litewsko-pruskiego silna była tradycja architektoniczna wywodząca się z gotyku* – nic jednak nie podają źródła o zegarze, więc go prawdopodobnie na początku nie było. Dziś, na wieży zdewastowanego kościoła zegar jest, a jego wskazówki zatrzymały się na pordezwiątałej i nieczytelnej już tarczy jednym przypominając czasy świetności, zaś innym jej kres w Mieruniszkach, nikt jednak nie łączy go z zamkiem w Olecku.

Reasumując te poszukiwania wyobraźnia podsuwa mi następujące wnioski: Graf Reimar Julius von Schwerin urzędował w zamku, jako ostatni w latach 1747-1754.

Wcześniej przez Mieruniszki przetoczyła się zaraza i gdy po pożarze odbudowano kościół zapewne szukano czegoś, co nada mu świetności i przyciągnie chociażby wzrok przypadkowych przejezdnych, ale pieniędzy na ten cel nie było zbyt wiele. Zegar z zamku, którego nikt już nie potrzebował, mógł być brakującym elementem, który dopełnił zamysł architektoniczny kościoła i nadzieje nowego pastora. Paul Flattau, który był ostatnim pisarzem starostwa być może zanotował ówczesne życie w odbudowanej parafii w pobliskich Mieruniszkach, a później inny kronikarz napisał coś więcej o przekazaniu zegara, być może. Być może przekazał go jeszcze Graf Reimar Julius von Schwerin lub już landrat Ewald Georg von Kleist, i tak przetrwał niejako incognito do dziś.

Oczywiście są to dywagacje, moje literackie dywagacje, chociaż przyznać muszę, że ten zegar z wieży kościoła w Mieruniszkach byłby dla Olecka ciekawym, nowym symbolem. Mógłby namacalnie przypominać o długiej historii naszego miasta, i byłby jedynym takim przedmiotem, gdyż nie posiadamy tak starych pamiątek. Nawet, jeśli po części to tylko zmyślona przeze mnie na poczekaniu legenda. Tyle, że nie do końca, bo przecież ten zegar gdzieś jest!

Czy jesteśmy Mazurami?

Według pierwszego lepszego słownika czy encyklopedii Mazurzy to „*mieszkańcy południowych Prus Wschodnich, potomkowie polskich osadników z Mazowsza, którzy w kilku falach osadnictwa zasiedlili południową i częściowo wschodnią część Prus Książęcych od XIV w.*” ... i wszystko byłoby dobrze, gdyby nie fakt, że może nie ma tu już Prus Wschodnich (ani Prus Książęcych) lecz my wciąż mieszkamy na Mazurach i jakoś musimy się nazywać, dlaczego więc nie nazywamy się Mazurami?! Etnologowie, językoznawcy i historycy zapewne nie zgodzą się ze mną uważając, iż skoro definicja dotyczy mieszkańców Prus Wschodnich (czy też Książęcych), a takowe już nie istnieją (czy też pierwszych osadników z Mazowsza), to nie można formalnie nazywać mieszkańców Mazur - Mazurami. Sęk w tym, że według mnie trochę się w tym pogubili i odmawiają jednocześnie zamieszkałym tę krainę ludziom ich tożsamości. No bo jak mają się nazywać ludzie tutaj mieszkający? Logika nakazuje określać ich Mazurami i nie trzymać się sztywnych zasad, które dawno wyprzedziło życie.

Ludzie od wieków osiedlają się na mazurskiej ziemi i ten proces osadnictwa wciąż jest aktualny. Przybywamy z różnorodnych stron, z powodu własnych wyborów, bądź historycznych zawieruch. Podczas projektu fotograficznego, który realizowałam jakiś czas temu w Wojnowie, i który dotyczył staroobrzędowców zdałam sobie sprawę, że kwestia tożsamości to dziś skomplikowana sprawa, plasująca się poza światem naukowych badań, a w całym tym skomplikowaniu bardzo przy tym łatwa i przystępniejsza od encyklopedycznych definicji. Staroobrzędowcy mieszkający dziś we wsi Wojnowo są bez problemu nazywani Mazurami, co przecież niekoniecznie odzwierciedla definicję. Także, na dzień dzisiejszy w tej wsi pojawiło się wiele nowych osadników i najciekawszym jest fakt, że nieważne skąd przybyli i jaką religię i obyczajowość wyznają, wszyscy oni stali się w pewien sposób

staroobrzędowcami. A to dlatego, że zdecydowali się mieszkać w Wojnowie i żyć po trosze jak ci, co w Wojnowie mieszkali przed nimi. Tak więc, czyżby we wszystkich tożsamościowych definicjach chodziło tylko o miejsce zamieszkania, szacunek do niego i wystarczający upływ czasu?

A więc jeśli staroobrzędowcami mogą być innowiercy po upływie pewnego czasu, tak, jak staroobrzędowcy stali się Mazurami, to czas gra rolę bardzo ważną w procesach asymilacji, bo przecież właśnie o asymilację chodzi, gdyż my (ludność przybyła tutaj po 1945 roku) także dopiero teraz zaczynamy czuć się na Mazurach dobrze. Chcąc dążyć do asymilacji, a nie do kolejnych podziałów, powinniśmy stworzyć nową definicję, w której mieszkańcy Mazur nie będą określani poprzez język, jakim władają, religię czy dawne podziały administracyjne (przecież ludzie mieszkający na tych ziemiach przed drugą wojną światową również nie byli Mazurami z czystej definicji, ale ani oni, ani my nie mamy problemu, aby ich tak nazywać). Jeśli więc przyjmiemy za definicję Mazura osobę mieszkającą na Mazurach to w zupełności wystarczy i nie prowadzi do nowych podziałów, gdyż dawne opisy były tworzone również według innych reguł niż te, które panują dzisiaj. Definicja Mazur/Mazurka powinna łączyć ludzi, bo taka jest także zaleta tożsamości – jeśli założyć oczywiście, że tożsamość jest potrzebna człowiekowi.

A więc może określić to tak: Mazurki/Mazurzy – ludność zamieszkująca teren Mazur. Wyznająca różne religie, składająca się z ludności rolniczej oraz drobnomieszczactwa. Na mieszkańców Mazur składa się ludność osadnicza, pochodząca z różnych terenów Polski i świata. Mazury to kraina przystępna i otwarta. Lato krótkie, zima dosyć mroźna, o czym powinni pamiętać przyszli osadnicy chcący odnaleźć swoją tożsamość na Mazurach. ...Dla niektórych to zapewne idealistyczne wyobrażenia i literackie dywagacje, dla mnie całkiem przyjemna wizja na przyszłość. Czas zrewidować pojęcie tożsamości. Bo faktem jest, że jesteśmy Mazurami, i oby nigdy nie było to kartą przetargową dla polityków czy nacjonalistycznych pobudek, o czym z racji mazurskiej historii powinniśmy pamiętać!

Jak to było w opustoszałym mieście?

Mniej więcej uporządkowaliśmy już sobie koleje wojennych losów naszego miasta (wówczas Treuburga). Wiemy co czuli wtedy ludzie (po dwóch stronach barykady), jak funkcjonowała machina faszyzmu, jak powstawały pomniki chwające bohaterstwo, te, które zachowane do dziś są jednocześnie doskonałym symbolem słabości ludzkiej. Przeszukując rozmaite źródła wiele odnajdziemy cierpienia, wiele wciąż niewiedzy, wiele chęci, by tylko po prostu żyć. Ciężko pozostać obojętnym wobec wszelkich dramatów, szczególnie ze świadomością ich powtarzalności. Paradoksalnie, Olecko pod koniec wojny miało kilka miesięcy wyrwanych z życiorysu, kilka miesięcy, w czasie których świetność pomników i

ludzkie dramaty odbijały się głuchym echem od opustoszałych kamienic. Tak sobie to przynajmniej wyobrażam.

Oprócz żołnierzy, oddziału cywili pilnujących porządku po 22 października 1944 roku w mieście pozostali prawdopodobnie tylko urzędnicy (obsługujący pocztę, kolej i landraturę) oraz 110 osób, których obowiązkiem było zająć się zbożem. Na całe miasto i okoliczne wsie nie była to duża liczba ludzi. Wszystko stało w oczekiwaniu na odmianę sytuacji. Szkoły, biblioteki, sklepy, domy...najcenniejsze rzeczy zostały zabrane, ale miasto pozostawało, przynajmniej do połowy grudnia 1944 roku, nienaruszone. Miasto widmo. Przyznam się, że nigdy tak nie myślałam o Olecku, a jednak dokładnie tak było. Miasto w zawieszeniu, pomiędzy starym, a nowym ładem. Brakuje mi archiwalnych zdjęć z tego okresu, bo wszyscy wiemy, że niewiele później wkroczyła Armia Czerwona oraz szabrownicy, a następnie nowi mieszkańcy, jednak dla historii Olecka, te kilka miesięcy, kiedy miasto zostało pozostawione same sobie i nikt się nim w zasadzie nie interesował, było miesiącami wyjątkowymi. Według „Dziejów Olecka” nieliczni próbowali powrócić do miasta, musiały być to wyjątkowe powroty, nieliczni zapewne także zostali, pomimo zbliżającego się frontu. Gdy Rosjanie wkroczyli do miasta z 77 budynków ocalało zaledwie 16. Takie miasto straszy już inaczej, dla przybywających do niego wówczas nowych mieszkańców, już bardziej swojsko.

Takie opustoszałe miasto, w którym na straży ustalonego porządku stali już tylko nieliczni, nasuwa mi proste skojarzenia o ludziach, bo ci nieliczni ludzie, którzy przechadzali się jego pustymi ulicami w głowach mieli zapewne wiele myśli. O przegranej wojnie, może o tym, że los się odmieni, o zagubionych bliskich, o śmierci, o tym, że coś stracili myśląc, że zyskają, o kwestiach organizacyjnych. Myśli zawzięte, myśli bezsilne...myśli, z którymi borykać się będą, jeśli przeżyją, do końca swoich dni, a wiemy, że tak też i się stało. Dla mnie wyobrażenie tego pustego miasta nasunęło przede wszystkim nagle taką refleksję, że nigdy nie wystarczy „wystarczy być” czyli tylko żyć i takie stwierdzenie nie odnosi się jedynie do społeczeństwa konsumpcyjnego, ale też i do tego, które bezkrytycznie przyjmuje idee totalitarne, a więc refleksja dotyczy wojennych historii lecz bardzo wciąż pozostaje aktualna.

Dotyczy to wszystkich bez wyjątku. Gdy odwiedzam muzea poświęcone różnym wojnom i różnym ofiarom często widzę zgromadzone pamiątki, fotografie, wycinki z gazet, o prostych ludziach (cywilach), o tym, jak zaświadcza, że często nie mogli zrobić inaczej, bo, ...i zawsze jest jakieś wytłumaczenie. Powracając do początku tej literackiej dywagacji nawiążę raz jeszcze do niektórych pomników stawianych bohaterom, które jawią mi się dziś jako symbole ludzkiej słabości. Ludzie walczą o swoją ojczyznę, boga, spokój i dobrobyt, o ważne dla nich symbole, a w naszym mieście od października 1944 roku jest jedno miejsce wciąż opustoszałe (jakkolwiek byśmy to próbowali odmieniać), z którym z racji szacunku do tych powyższych, symbolicznych wartości oraz zawiłej historii, nie wiemy tak naprawdę co zrobić. To miejsce, to pomnik na cześć poległych w I wojnie światowej utworzony z inicjatywy landrata Wachsmanna i odsłonięty w 1927 roku. I..to dobrze, że wciąż stoi (co podświadomie może wiemy) i, że wciąż pozostaje tak dziwnie opustoszały, jak te ulice w 1944 roku, gdyż wydaje mi się, że w ten sposób wytrwale uczy przede wszystkim tego, że ludzie bywają zaprzęgnięci ideologiami i systemami totalitarnymi doszukując się w nich po prostu profitów dla siebie. Bez względu na to, jakim nie byłoby narodem. Właśnie z powodu tej podatności i braku refleksji ludzie stają się zagrożeniem. To temat rzeka, rozpatrywać go można na wszelkie sposoby. Bo z „wystarczy być” zawsze wynikają

konsekwencje i nie chciałabym znów wyobrazić sobie (lub raczej doświadczyć) opustoszałego Olecka, tym bardziej więc warto czasem pójść pod ten pomnik, by o tym pamiętać!

Co to znaczy małe miasto?

Jeśli podróżować to znaczy poszerzać swoją wiedzę, to jak się to ma do rozmaitych mędrców, którzy siedząc całe życie w jakimś, często całkowicie zapomnianym przez cywilizację miejscu, wnieśli wielki wkład w rozwój dajmy na to filozofii? Może to otwarte pytanie działa także na korzyść mieszkańców małego miasta, bo podróżujemy dziś wszyscy i z różnorodnych pobudek, a dzięki chociażby internetowi pojęcie małego miasta nie jest już tak jednoznaczne, gdyż świat zrewidował pojęcie przestrzeni dając jej więcej możliwości rewidując przy tym także pojęcie podróżowania oraz odrzucając twarde podziały na centrum i prowincję, które były uwarunkowane między innymi dostępem do wiedzy.

A więc podróżujemy czyli przemieszczamy się dzięki tanim ofertom, ciekawości świata i wiedzy, chęci przypodobania się innym, zazdrości, potrzeby dystansu i spokoju, z powodu naszych cech charakteru i nabytych skłonności oraz przemian, jakie zachodzą wokół. Według słownika „podróżować” to znaczy „przebywać drogę do jakiegoś odległego miejsca”, i tak właśnie robimy, chociaż pojęcia „przebywać drogę” i „odległe miejsca” mają dziś nowe znaczenia, nie zmienił się natomiast fakt, że podróżowanie czy też przebywanie w jakimś miejscu ma sens, jeśli wrócimy z wiedzą lub ją w danym miejscu przebywając nabędziemy. To, czy coś wyniesiemy z podróży czy też z małego miasta nie zależy od czynników zewnętrznych lecz od nas samych. Ja lubię podróżować, tak jak lubię wracać do naszego miasta, a w przypadku ludzi, jak i miejsc, chęć powrotu jest chyba najważniejsza. Starłam się to ukazać m.in. poprzez projekt fotograficzno-poetycki „Zapach wieczoru/Oleckie impresje”, który wciąż można zobaczyć w Oleckiej Izbie Historycznej. Projekt jest właśnie próbą odpowiedzi na pytanie o małe miasto, które w sposób oczywisty skojarzyło mi się z podróżami, gdyż najintensywniej patrzę na Olecko z perspektywy powrotów.

W projekcie „Zapach wieczoru/Oleckie impresje” poprzez słowa „Zapach wieczoru” czy też „oddychać wreszcie” ukazuję to, co w naszym mieście wydaje mi się najcenniejsze. Staram się je bezustannie ogarniać jak tylko mogę, ale tak, aby w tym ogarnięciu widzieć również więcej niżli tylko to, co pod nosem (a nawet jeśli, to nadać temu nowy wymiar), co (tak mi się wydaje) jest dobre nie tylko dla mnie, a dostrzegam to chociażby w impresjach i ulotnościach. Bez nostalgicznych wspomnień do przeszłości czy też do korzeni lub tęsknoty do innego miejsca. Staram się widzieć wszystkie dobre strony i te złe, chociaż te drugie poprzez ich uniwersalizm mogą też dotyczyć każdego innego miejsca na ziemi. Patrzeć na miasto realnie, ale z niegasnącym optymizmem w podtekście oraz ze spokojem i charakterystycznym zadowoleniem z tego, że było się gdzieś, a teraz jest się już z powrotem. Odnajdywać wiedzę Gdzieś Tam i jak najbardziej nabywać ją także Tutaj.

Jeśli więc dziś małe miasto nie przegrywa w kwestii tworzenia się i nabywania wiedzy, tak jak namacalne podróże pełne otwartości i empatii wciąż są najlepszą formą na spotkanie Innego lecz nie przekreślają rozwoju człowieka niepodróżującego, to bliski nam Kant jest najlepszym przykładem na to, że to nie miejsce tworzy człowieka lecz człowiek miejsce, a małe miasto nie ogranicza i może być także podróżą. Kant nie ruszył się z Królewca, a wypracował nowy język filozoficzny. Może i miał uniwersytet na wyciągnięcie ręki, ale wciąż prowincjonalny (wówczas to słowo miało zasadne i negatywne znaczenie), a my dziś, każdy bez wyjątku, mamy cały świat na wyciągnięcie ręki. W takim małym mieście. Myślę, że nie jest to zbyt śmiała literacka dywagacja, tym bardziej, że drugie znaczenie słowa „podróżować”, a raczej "podróżować się" otwiera możliwości kolejnych refleksji, gdyż "podróżować" to także znaczy zabarwić kolorem różowym i ta definicja kojarzy mi się z podróżą do wnętrza oraz z optymizmem, a przecież właśnie o optymizm w podróżach lub w mieszkaniu gdziekolwiek chodzi, bo podróżować rzeczywistość można wszędzie.

Czy jesteśmy barbarzyńcami?

Czy jesteśmy barbarzyńcami, a jeśli tak, to w jakim sensie i czy przewrotność barbarzyńcy nie polega na tym, że gdy on napada (a jest potęgą lub zwycięzcą) to się już tak nie zawsze nazywa, a właśnie wtedy także powinien?

Okolice Olecka zostały potraktowane jako te zamieszkałe przez barbarzyńców paradoksalnie już w czasie największej tutaj panującej prosperity i wymiany handlowej. Określali nas tak Rzymianie, którzy tak samo określali i inne ludy, kiedy im to było na rękę. Według słownika „barbarzyńca” to człowiek dziki, pierwotny, niecywilizowany, okrutny, o prymitywnych odruchach, nieznający kultury europejskiej (nawiązując do znajomości kultury europejskiej można więc powiedzieć, że dajmy na to większość Amerykanów to barbarzyńcy). Wracając jednak do czasów odleglejszych, w starożytnej Grecji pojęcie „barbarzyńca” zwyczajnie oznaczało każdego cudzoziemca (bez negatywnych podtekstów), zaś już w Rzymie tego, kto nie był Rzymianinem lub Grekiem (i, a jakże, z negatywnym podtekstem w tle, bo Rzymianie określali tak przedstawicieli wszystkich ludów, które nie należały do grecko-rzymskiej cywilizacji i rzekomo cechowały się dzikością i brakiem kultury). Rzymska definicja barbarzyńcy przetrwała niestety aż do dziś.

A więc byliśmy nieokrzesanymi dzikusami, jednak mieliśmy coś, co dla Rzymian było w cenie i zadawali się z nami pomimo naszego, według ich opinii, braku kultury. Bursztyny szły jak woda. Towary krążyły po Europie zanim ktokolwiek śnił o wspólnotowych ustaleniach gospodarczych. Jednak, gdy i my zaczęliśmy się poruszać po świecie, a Imperium Rzymskie upadło, skończyły się dla nas czasy świetności i wymiany handlowej. Barbarzyńcy (czyli my) z pobudzonymi apetytami zaczęli poszukiwać spełnienia ambicji i zachcianek gdzie indziej i w nowy sposób ("my" oczywiście w sensie stricte umownym). I tak się czasy toczyły, zdążyło powstać miasto, ludzie płacili za bycie jego mieszkańcami, a później bardzo się starali, aby osiąść jakiś majątek. Olecko trawiły liczne pożary (w wyniku nieostrożności, bądź krwawych najazdów), zarazy, przybywali coraz to

nowi osadnicy, a historia wciągała ich w zawieruchy, jednakże także coraz bardziej rozsmakowując w duchowych sferach życia i innych kulturach, modyfikując przy tym definicję barbarzyńcy.

Wreszcie nastąpiła ostatnia zawierucha historyczna (co będzie dalej nie wiadomo) w postaci fali osiedleńców (czyli nas) przybywających tutaj w wyniku kolejnych, nowych podziałów administracyjnych. Po 1945 roku nikt oficjalnie w Olecku nie określał barbarzyńcami ani tych, co pozostali, ani tych co miasto zamieszkiwali na nowo. Jedynie szabrownicy byli zgorą, czy jednak tak było naprawdę, wtedy, gdy wybory i postępowania nie należały do najłatwiejszych, bo dusze ludzi wypełnione były emocjami odwetowymi oraz przemożną chęcią rozpoczęcia wszystkiego od nowa? Czy zawsze wobec autochtonów postępowaliśmy jak należy, zaś autochtoni – jak to było z nimi? Zapewne wtedy nic nie było oczywiste, ale to niewiele aktualnie wyjaśnia. Walka o przetrwanie trwała długo, a dziś każda ze stron ma jej swoje wersje, zaś historia toczy się dalej.

Dziś żyjemy w spokojnym w miarę mieście, a barbarzyńca to człowiek bez kultury, o patologicznych zachowaniach. Określamy go po tym, jak traktuje siebie, innych ludzi i zwierzęta. Nie odnosi się to pojęcie do konkretnych ludzi i nacji. Rewidując historię zdajemy sobie sprawę, że barbarzyńcą może być ten, który jest zagrożeniem będąc agresorem, ale i ten, który przed zagrożeniem stara się siebie chronić. Zezwierzęcenie i bezsilność w jednym. Wszystko zależy od interpretacji i stopnia cywilizacji, a więc zdolności jednostek do samodzielnego myślenia. Okolice Olecka już we wczesnym średniowieczu leżały na pograniczu plemiennym i wynikały z tego liczne kłopoty. Czyżby ludy zamieszkujące te ziemie zawsze miały ponosić tego jakieś konsekwencje? Jeśli nie będą samodzielnie myśleć, to pewnie tak będzie. A wtedy pojęcie barbarzyńcy znów będzie miało szersze znaczenie.

Jak wygląda nasze życie codzienne?

Czy jest jakiś schemat naszego aktualnego życia tutaj? Schemat, który moglibyśmy określić jako uniwersalny dla każdego mieszkańca Olecka? Być może wciąż żyjemy jedynie na tyle, na ile pozwalają nam klimat i położenie miasta tworząc uwarunkowania, które to od pokoleń wpływają na powielanie automatyzmów naszych zachowań. Może jedynie prognozowane (w bliżej nieokreślonej przyszłości) ocieplenie klimatyczne zmieni definitywnie tutejsze przyzwyczajenia.

Schemat życia olecczan opiera się w dużym stopniu przede wszystkim na położeniu, a więc na topografii miasta, i warto się temu bliżej przyjrzeć, by podsumować rzeczywistość. Topografia pozostała w zasadzie niezmienną do dziś i funkcjonujemy, jak nam to pierwotnie narzucono: z placem centralnym pośrodku. Ratusz mieści się wciąż przy tym placu, jedynie w innym już budynku, a nad miastem jak dawniej dominuje kościół. Od placu ulice rozchodzą się tak samo, bez większych zmian. Wciąż potocznie mówimy, że „idziemy do miasta” mając na myśli sklepy lub urzędy wokół placu, gdyż nasze życie codzienne jest topografią uwarunkowane i przemieszczamy się tradycyjnie tak samo od lat, tylko na jarmark

idziemy już za rzekę, bo teraz nie dzieli ona tak wyraźnie miasta. Przy czym, jarmark nie jest już tak ważny dla społeczności oleckiej, bo mamy i inne alternatywy kupna i sprzedaży, a kultura, która we wcześniejszych czasach istniała jako jarmarczna rozrywka (w postaci pantomimy czy też teatralnych scenek) nabrała wyższych lotów i przeniosła się z rynku do sal, kina oraz amfiteatru. Życie codzienne wymaga załatwiania spraw, zakupów oraz rozrywki, i tak ono wygląda od założenia miasta tętniąc w centrum tysiãcem spraw.

Jeśli zaś chodzi o położenie naszego miasta względem świata to przyczyniało się ono przede wszystkim do tego, że życie kiedyś toczyło się tutaj prawdziwie prowincjonalnym rytmem, a głównym wydarzeniem wybudzającym miasto z uśpienia był wspomniany powyżej jarmark. Dzisiaj rytmu życia nie wyznacza nam już jarmarczny targ, ani wschody i zachody słońca lecz jedynie może godziny otwarcia urzędów i zakładów pracy. Nie jest on jednolity i odbiega od zastanego prowincjonalnego uśpienia. Czas naszej aktywności się wydłużył. To, w jakim stopniu korzystamy z dobrodziejstw cywilizacyjnych oraz jak nam powodzi się w interesach w dużym stopniu zależy już nie tylko od indywidualnych wysiłków i zapotrzebowania mieszkańców miasta czy też jego położenia oraz kontroli władz lecz także od tego, jak wygląda rynek światowy, a więc my także pozostajemy pod wpływem jego wzlotów i upadków. Prowincjonalność przez to nabrała nowych form, gdyż stała się tym, co człowiek ma w duszy, a nie określeniem jego miejsca zamieszkania.

Pomimo, iż położenie nie odgrywa już znaczącej roli, klimat niezaprzeczalnie wciąż wpływa na nasze życie i najdotkliwiej odczuwamy to zimą. Bez względu na to czy chcemy czy też nie, musimy być przewidujący na kilka zimnych miesięcy w roku i jak na razie nie udaje nam się uciec od potrzeby (i konieczności) ot chociażby ogrzewania i odśnieżania, tyle tylko, że możemy sobie to ułatwiać stwarzając bardziej komfortowe warunki, bądź po prostu na czas zimowych miesięcy wyjeżdżać gdzieś indziej. Reasumując te krótkie podsumowanie: nie różnimy się w tych naszych standardowych zachowaniach i ewentualnych przemianach od innych, podobnych do naszego, miast w Polsce. Rozwój cywilizacyjny kształtuje nasze życie, codziennie także powielamy standardowy styl życia od pokoleń. To, dlaczego tak się dzieje (oprócz uwarunkowań topograficznych i klimatycznych) ma wiele aspektów, niemniej jakiś czas temu naukowcy przedstawili nową wizję przyszłości, w której my tutaj staniemy się Eldorado dla reszty Europy, i to może odmienić nasze przyzwyczajenia oraz zachowanie. W wyniku zmian klimatycznych większość krajów śródziemnomorskich utraci swój potencjał, a ludność z tych krajów wybierze się na Daleką Północ (czyli do nas) w poszukiwaniu ciepła i lepszego życia wyludniając całe wybrzeża. Tak więc, w bliżej nieokreślonej przyszłości możemy być pępkiem świata. Klimat zmieni się całkowicie, a na stokach mazurskich pagórków być może wyrosną winnice, zaś miasto nabierze nowych form architektonicznych. Taki nowy raj na ziemi z nowymi obyczajami i nową ludnością napływową. Taka Śródziemnomorska Północ. Analogie do przeszłości i opis życia codziennego mogą być o wiele trudniejsze do przeprowadzenia niż dzisiaj. Oczywiście, to tylko czysto hipotetyczne rozważania. Dziś wciąż z łatwością przeglądamy się w przeszłości odnajdując cechy wspólne.

Co nam tu pozostało po Wielkiej Rewolucji Francuskiej i Napoleonie?

Liberté, égalité, fraternité – wolność, równość, braterstwo – czy te wartości znaczący tyle samo tutaj, co w innych stronach świata, kiedy Francuzi rozpoczynali rewolucję o nie? Czy wpłynęły na walkę mieszkańców tego miasta o swoje prawa czy też potraktowali te hasła jako nic dla nich nie znaczące, rozbrzmiewające prawdziwie jedynie w dalekiej, żyjącej rewolucją Francji lub wcale nie słyszeli o nich? Może późniejszy historycznie fakt bycia po drugiej stronie barykady przysłonił im to, co okazało się w Wielkiej Rewolucji Francuskiej najważniejsze, a może miało to także związek z mazurskimi cechami charakteru. Wszak od wieków zmagamy się tutaj z pojęciem przestrzeni, która pozostaje dla nas złudna (szczególnie zimą) i być może wszechwładnie ogranicza również próby walki o polepszenie rzeczywistości, bo wszędzie i tak jest daleko, więc lepiej jest trzymać się sprawdzonych reguł i zasad.

Przestrzeń Mazur zawsze wydawała się nieskończona i dzika, może po trosze dlatego, że kiedyś trudniej było poruszać się po niej (przecież i my dopiero od niedawna odkrywamy okolice) oraz dlatego, że mazurska fatamorgana robiła swoje. Wpływa ona na wyobraźnię i dzisiaj, gdyż wystarczy chociażby pójść nad jezioro i się przekonać, że zimową porą odległość do drugiego brzegu znacznie się kurczy pobudzając apetyty na piesze wędrówki, które wnet okazują się nie lada wyprawą. Nic nowego oczywiście, ale myślę, że tutaj na Mazurach to przekłamanie odległości znacznie wpływało również na styl życia i mentalność, gdyż nawet jeśli dotarło się na drugi brzeg ze świadomością, iż trwało to dłużej niż mogłoby się wydawać, na drugim brzegu z reguły nic nie było, nic poza dalszą niewiadomą. Przestrzeń stwarzała również wrażenie końca świata, a jak wiadomo końce świata rządzą się własnymi prawami. Ludność mazurska być może przełożyła to na swój sposób tworząc właściwy dla siebie styl życia nieprzychylny zmianom. Niemniej i na Mazurach pojawili się rewolucjoniści, byli to jednak reformatorzy lub obrońcy takiej a nie innej wiary lub takiego, a nie innego języka. Pojawili się oni z opóźnieniem i wolność głosili na swój sposób, a to sprzeciwiając się unifikacji lub też walcząc przeciwko moralnemu upadkowi mazurskich chłopów. Wyznacznikiem ich idei była ewolucja w codziennych obyczajach bądź jedynie słuszna wizja tożsamościowa dla zamieszkującej te ziemie ludności.

Gdy Francja miała już za sobą początki rewolucji przez nasze miasto przetoczyła się Wielka Armia Napoleońska. W Olecku rządził wtedy niejaki Haacke, a burmistrzem był 30 lat, więc zapewne to w jego przekazach możemy dziś doszukiwać się zapisów i dociekliwszych przemyśleń z tamtych, burzliwych czasów. Może, gdyby wtedy Olecko nie pozostało w Prusach historia potoczyłaby się zupełnie inaczej. Dziś po tych wojskach napoleońskich pozostały jedynie nieliczne miejsca pod Oleckiem, w których jeszcze do niedawna zachowały się mogiły, a dziś nic już tam nie ma. Mogę sobie tylko wyobrazić, jak wyglądało to wojsko, tak jak mogę sobie jedynie wyobrazić, jak Balzak przemierzał kiedyś całą Europę, w tym Polskę, jadąc zwykłą karocą prosto z Paryża do Hańskiej. Droga całkowicie wyrwana z obyczajowego kontekstu. Niemniej, niektórzy z tych żołnierzy Napoleona zostali w tych stronach, nie tylko w postaci opuszczonych i zapomnianych mogił. Nieliczni zdecydowali się tu zostać i żyć, zapewne to były wyjątki, niektórym się to udało.

Niestety, nie odziedziczyliśmy po tych żołnierzach ani niuansów kuchni francuskiej, ani słownictwa, które wkradłoby się do języka potocznego, ani tych wielkich haseł, które stały się symbolem francuskiej walki. Niestety, odziedziczyliśmy za to (niejako instynktownie) po ludziach mieszkających tutaj od wieków coś, co nazwałabym „życiową mądrością”, co niekoniecznie jest synonimem zdrowego rozsądku, bardziej bierności. To wciąż kwestia przestrzeni. Odgrywa ona wciąż wielką rolę na psychikę ludzką lecz nie mając na szczęście już takiego wpływu na codzienność, gdyż otwieramy się coraz bardziej. Być

może teraz nadchodzą zmiany, bo wszędzie jest już przecież dosyć blisko. A zmiany wcale nie muszą być rewolucyjne, wystarczy tylko dalej pielęgnować wolność, równość, braterstwo. Takie tam, literackie dywagacje, kilka wieków po Wielkiej Rewolucji Francuskiej.

Czym były tutaj trudne czasy?

Kryzys światowy, który napędzają media odbija się, jeśli nie na rzeczywistej ekonomii, to na psychice ludzkiej. Rozchwiana niepewnością jutra bardziej podatna jest na różnej maści „-izmy”, obniża życiowe oczekiwania (przy okazji również odpowiedzialność za własne czyny) i zwiększa frustrację oraz wiarę w cuda. Aktualnie dzieją się z tego powodu często absurdalne rzeczy i tak na przykład po całej Irlandii biegają ponoć zdziczałe konie. Takie tam współczesne tarpany, z tym, że wolne nie ze względu na geny lecz w wyniku zubożenia ich właścicieli, którzy swój luksus mierzyli na wyrost poprzez ich posiadanie. W każdym bądź razie, kryzys obwieszczany jest ludziom co pewien czas już od wieków i przejawia się różnorako. Jest wynikiem pewnych poczynań lub jedynie fantazją, lub też jej brakiem. A jak to było zawsze w naszym mieście kiedy nadchodziły trudne czasy?

Kryzysem tutaj były kiedyś pożary, najazdy zbrojne lub nadmierne obowiązki wobec wojska czy też susze lub choroby. Gdy już sytuacja przerastała mieszkańców pisali do króla i czekali cierpliwie, bo w nim na koniec pokładali swoje nadzieje. I tak, jeśli potraktował ich przychylnie, to miasto dostawało ulgi podatkowe i pomoc finansową. Następnie z powrotem odbudowywano, odsiewano oraz spekulowano i życie toczyło się dalej. Panujące podziały społeczne i częste nieszczęścia losowe sprawiały, że niestety nie brakowało tutaj nigdy biednych ludzi. Niemniej jednak w mieście funkcjonowały kasy ubogich oraz przytułek, wspomagano i dawano pracę oraz jako taki wikt i opierunek. Pomoc drugiemu człowiekowi od zawsze wpajana była jako pożądane etycznie zachowanie, więc i tutaj była zapewniona, pomijając czasy prawdziwych kryzysów, kiedy zapewne ujawniała się zwierzęca natura człowieka nastawionego na przetrwanie.

Zezwierzęcenie człowieka ujawnia się niestety przy byle trudnościach, o czym świadczą konie w Irlandii pozostawione dziś same sobie, a kupione z czystej próżności. „Zezwierzęcenie” nie jest tu trafnym określeniem chyba że to nie fakt próżności lecz jej wynik objęty jest definicją, chociaż już kupno tych zwierząt czyli działanie z niskich pobudek tę definicję współcześnie powinno poszerzyć. Przyglądając się naszemu miastu na przełomie dziejów dochodzę do wniosku, że zezwierzęcenie objawiało się być może tak samo, jak wszędzie kiedyś i dziś na świecie, niemniej prawdziwym objawem kryzysu na Mazurach był zawsze analfabetyzm. Gdy przychodziły ciężkie czasy to zawsze najpierw oświata popadała w niełaszkę i była przedmiotem cięć budżetowych. Być może niestety, ten niesłuszny priorytet wpłynął na przełomie dziejów na taki, a nie inny wizerunek Mazura, ukształtował jego charakter i życiowe cele.

Dzisiejsza Irlandia jest dobrym materiałem dla nas do analizy porównawczej ludzkich losów ze względu na właśnie przeżywany tam kryzys oraz jego ponadczasowość.

Całkiem niedawno przecież zniknęli z jej krajobrazu trawellerzy – irlandzcy nomadzi. Ich wozy, przypominające cygańskie tabory, były symbolem Wielkiego Głodu. Zniknęli, ale być może znów powrócą, gdyż kryzys jest wpisany na trwałe w irlandzką egzystencję. Wystarczy, zaszyć się na Wyspach Aran, aby to zrozumieć. Tam perspektywa nie przekłamuje jak u nas rzeczywistości, jedynie ukazuje ją dobitniej dla całej Irlandii w postaci kamienia otoczonego oceanem. Uwidacznia fakt, iż natura, klimat i izolacja odgrywają ważną rolę, jak dawniej skazując człowieka na zależność (lub niezależność okupioną skromnym życiem i wyrzeczeniami). Ta zależność i niezależność z niej wynikająca wpisane są być może również i w naszą egzystencję.

Czego może nas nauczyć błoto?

W jednym z filmów Patryka Lecomta francuski baron Grégoire de Malavoy udaje się do króla Ludwika XVI, aby zaradzić malarii panującej wśród chłopów. Sprawa dotyczy regionu Ain we Francji, i nie jest filmowo tak bardzo odległa od dzisiejszych czasów, gdyż akcja toczy się w XVIII wieku. Baron Grégoire de Malavoy wciągnięty w rozliczne intrygi dworskie i gierki słowne bryluje na salonach, aby wreszcie zrozumieć, że Ludwikowi XVI wcale nie w głowie systemy melioracyjne, które uzdrowiłyby mieszkańców Ain. Film, jak film, ważne, że przychodzi mi na myśl teraz, gdy w naszym mieście panuje przedwiośnie, a to przedwiośnie z kolei przywodzi mi dodatkowo skojarzenie z odleglejszymi czasami średniowiecza.

Teren naszego miasta wchodził w późnym średniowieczu w obręb tzw.: Wielkiej Puszczy. Był to obszar zalesiony i bagnisty. Wtedy też mało kto miał wystarczająco odwagi, aby tutaj się zapuszczać i karczowano te ziemie po trochu, wyrывая je dzikiej naturze. Wielka Puszcza była dla ówczesnego władcy tym, czym Ain w XVIII wieku dla paryskiej śmietanki: niewiele znaczącym skrawkiem państwa. Dla Francji decyzje zapadały w Paryżu, o którym nawet niewielu chłopów z Ain słyszało, co za tym idzie, Ludwik XVI nie zarządził panującej tam malarii, bo go to nie interesowało. Nie zarządził problemowi również z tego powodu, że został zgilotynowany. To wersja filmowa, chociaż nie różni się od faktów. Sytuacja być może jest odrobinę podobna do naszej, gdyż z tutejszej prowincji wieści zapewne także docierały z opóźnieniem, a decyzje dla tych terenów zapadały takie, jakie były interesy władców lub takie, jakie były wynikiem przypadku.

Wracając jednak do malarii: nie była ona naszą największą epidemią. Jeziora i bagna oraz klimat i braki w higienie wyraźnie mniej destrukcyjnie wpływały na tutejszych mieszkańców. Kiedy już miasto powstało to najgroźniejszą plagą było morowe powietrze (dżuma, tyfus, cholera i czarna ospa), co potwierdzają przykładowe statystyki i tak na przykład w latach 1709-1710 w mieście zmarło w wyniku zarazy 1100 osób, a przeżyło zaledwie 38. Może właśnie wtedy jakiś polski Grégoire de Malavoy udał się do władcy z prośbą o zarządzenie w tej trudnej sytuacji. Spotkał się zapewne mimo wszystko z większą przychylnością, gdyż ówczesnym władcom jednak zależało na zasiedlaniu tej ziemi, tak więc po tej, jak i po każdej innej epidemii przychodziła kolejna fala osadnictwa. Niestety, wciąż

przeżywali tylko nieliczni, ale nie ma się czemu dziwić jeśli najlepszym sposobem na zwalczanie choroby było jeszcze w XVII wieku smarowanie serca i puls chorego specjalnym balsamem odtruwającym lub noszenie na sercu puklerza lub amuletu, a ciepły chleb wkładano do ust zmarłemu, aby powstrzymać rozprzestrzenianie się choroby.

Tak więc, brodzimy dziś w błocie, jak i w średniowieczu, chociaż rzeczywistość wokół jest lepsza od tej średniowiecznej, a nawet i od tej osiemnastowiecznej, zaś metody leczenia na szczęście ewaluowały. Błoto pozostaje nieodzownym elementem naszej codzienności, stało się jednak nieinwazyjne dla zdrowia, a przy tym także całkowicie demokratyczne. Bo brodzimy dziś w błocie wszyscy, bez wyjątku, mniej lub więcej, ale nie wnosi to ani poważnych chorób, ani podziału klasowego. Wiosna przybliżyła do średniowiecza, jednak zdecydowanie na lepszych warunkach. Nie da się tego całkowicie wyeliminować, a na dodatek wiekowe bruki odsłaniające się pod spękaniem asfaltu udowadniają teorię, że z tym postępem to może nie do końca jest tak, jakby się nam wydawało. Skłaniają także do refleksji, że błoto tu było zawsze, a ludzie nie, oraz do konkluzji, że charakterystyką tego terenu jest bezustanne osadnictwo. Osadnictwo w wyniku epidemii czy też innych wydarzeń...takie tam, literackie dywagacje z mroków średniowiecza, poprzez wiek osiemnasty do współczesnych, chwilowo zabłoconych czasów.

Czy jesteśmy wielokulturowi?

1 lipca 1879 roku powitano oficjalnie kolej w Marggrabowej i niewiele później rozpoczęła się emigracja mieszkańców. Emigrowano wtedy do Zagłębia Ruhry, możliwe, że i gdzieś indziej. Nasiąkano innymi obyczajami. W następstwie tych wyjazdów, w mieście powstawały nowe zakłady i sklepy oraz miejsca spotkań, bo ludzie przecież znów mieli trochę więcej do zainwestowania, wydania i do opowiadania. Wtedy też być może dobitniej zarysowała się potrzeba utrwalenia własnej kultury oraz jakiejś, przynajmniej duchowej, wielokulturowości, bo wyjazdy musiały również skłaniać do poszerzenia wiedzy o świecie (w tej wielokulturowości także przecież i o to chodzi). Czy to, co ukształtowało miasto wtedy jest wciąż odczuwalne? Czy te pierwsze wielkie emigracje odbiły się również jakoś na nas, mimo, że już ani tych ludzi, ani tego miasta w jego splendorze nie poznaliśmy?

Gdy patrzę na stare fotografie z albumu „Treuburg” mam świadomość odmiennych, uwikłanych historycznie czasów lecz również i fascynację tym, co było wtedy, stylem, który nazwałabym kolonialnym, bo tak kojarzą mi się witryny i wnętrza ówczesnych sklepów zlokalizowanych wokół placu. Ludzie stojący przy ich wejściach lub też ci, spacerujący dostojnie po rynku, wzbudzają moją ciekawość. Zastanawiam się nad ich losami, jak wyglądało ich życie na co dzień, jak socjologicznie kształtowały się poglądy i priorytety życiowe. Widzę odmienną kulturę, czasem negatywne wpływy polityczne, ale też i namiastkę wielkiego świata, który wraz z koleją otworzył się przed Ludźmi Stąd poszerzając ich wiedzę. W ten sam sposób przyglądam się dziś sobie i innym mieszkańcom Olecka. Dziś także wyjeżdżamy (a jest to łatwiejsze niż kiedyś) i wracamy. Miasto się rozwija, a splendor przeszłości sprawia, że chcemy, żeby ono było takie piękne, jak dawniej. Rośnie w nas

potrzeba pielęgnowania i archiwizacji własnej kultury, co za tym idzie, również i wielokulturowość objawia się być może w zachowaniach i myślach.

Zawsze podkreślam, iż wielokulturowość jest największym bogactwem ludzi pomimo, że ostatnimi czasy na wielokulturowości skupiają się nieprzychylnie opinie, pogląd swój podtrzymuję, gdyż przyczynia się ona do wzrostu empatii oraz zrozumienia Innego, a także do ogólnego rozwoju i poszerzenia horyzontów. Uważam, że to nie wielokulturowość jest zła lecz jedynie zbyt przywiązanie do własnej kultury i jej nadmierna gloryfikacja. Do argumentacji tej teorii doskonale nadaje się informacja, którą niedawno zasłyszałam. Otóż niektórzy udowadniają, że dawne Mazury to był świat nierealny, bo stworzony z licznych zasad i rygorów i być może dlatego w czasach, kiedy Mazurzy mogli jeszcze bez represji wybierać kim być chcą, część określała się Polakami, bo bycie Polakiem kojarzyło się z większą spontanicznością i swobodą. Informacja ta przedstawia fakty, które aktualnie już są znane dla każdego, bo wiemy, że i zbyt rygorystyczne, jak i nasza ułańska fantazja nie sprawdzają się w życiu codziennym. Z tej informacji wynikają jednak i inne przesłania.

Być może my na Mazurach analizując, jak kiedyś potrafili się tutaj różnorodni ludzie porozumieć, możemy dziś wyciągnąć odpowiednie dla wielokulturowości wnioski. Może więc, to wielokulturowość interpretowana jako połączenie najlepszych cech i obyczajów różnych nacji jest szansą dla przyszłych pokoleń? Warto się nad tym zastanowić dziś, kiedy jest ona kosztem ofiarnym nieudanych asymilacji i wadliwych systemów (jednym słowem według jej krytyków obnaża słabość demokracji). Jeśli tak, to czy dawni mazurscy osadnicy nie byli już pionierami tej wielokulturowości według przedstawionej powyżej informacji? Chyba to właśnie (między innymi) ukształtowało nasze miasto i Mazury w XIX wieku, a nam tę świadomość zapisano w przekazach, pomimo, że historia później potoczyła się w zupełnie odmiennym kierunku. Tak raz ukształtowaną świadomość warto w sobie pielęgnować.

Co my mamy na talerzach?

Jakiś czas temu poczęstowana zostałam pewną potrawą dawniej serwowaną powszechnie w Portugalii. Ta potrawa to nic innego, jak kiedyś tutaj znane mazurskie „placki biednych rycerzy” czyli kromki czerstwego chleba smażone na słodko. Przyszła mi w związku z tym taka refleksja na myśl, iż obie wersje jednej i tej samej potrawy zaświadcza o tym, że wszędzie na świecie kuchnie w sposób podobny zaspakają i zaspakają smaki, kiedy trzeba je trochę oszukać. Oszustwo kulinarne jest postępowaniem praktykowanym zapewne od dawien dawna, a „podrabiane” przepisy pojawiły się, gdy tylko wzrosły ludzkie apetyty i zachcianki, a niekoniecznie życie na to pozwalało. Początkowo jednak wszystko w naszym mieście było prostsze, gdyż wszelkie dania ważono na piwie, bo było ono ich składnikiem podstawowym, co równocześnie ewidentnie ograniczało wachlarz dań i ich wersji uboższych. Czy to, co było na talerzach kiedyś wpływało na jakość życia i marzenia dawnych mieszkańców i czy to, co mamy na talerzach dzisiaj, jakoś nas określa?

Według licznych przekazów, w naszym regionie piwo było nie tylko trunkiem, ale i źródłem wszelkich witamin oraz napojem, który można było bezpiecznie pić bez przegotowania. Poza tym, ludzie kiedyś jedli to samo, co i my teraz: mięso, drób, ryby i

warzywa. Warzyw jedli mniej lub więcej, w zależności od zasobności portfela, a mięso w jadłospisie świadczyło o lepszym wyżywieniu. Dziś wyżywienie niespecjalnie podlega takim kategoriom, a dużo warzyw konsumujemy przede wszystkim z czysto zdrowotnych pobudek. A poza tym, to co my mamy aktualnie na talerzach jest także mieszanką wielu prób i kombinacji odtworzenia jakiejś spójnej kuchni regionalnej, tego co przywieźliśmy tutaj po 1945 roku i naszych prywatnych gustów oraz naleciałości z innych kultur. Dawno pożegnaliśmy się z piwem, jako głównym składnikiem potraw i chociaż browary wciąż mają się dobrze, to domowe ważenie piwa na własne potrzeby nie jest już powszechnym obyczajem, ani udzielanym mieszkańcom miasta przywilejem. Do odległych czasów już nie wracamy, lecz wciąż trzymamy się przeszłości. Dzisiejszy nasz jadłospis jest przede wszystkim wynikiem osobistych i tych nabytych preferencji kulinarnych.

To, co mamy na talerzach, wpływa na jakość oraz styl naszego życia. Wydaje mi się, że na przykładzie tych portugalskich (podobnych do naszych) słodkości, jadanych w zastępstwie prawdziwych deserów, można śmiało wyciągnąć wnioski, że oszustwo kulinarne jest w jakiś sposób motorem napędowym rozwoju i optymizmu człowieka. Portugalska potrawa dawana dzieciom w czasach kryzysu zapewniała im przetrwanie, a dziś jest dla nich (już dorosłych) czułym wspomnieniem przeszłości i przenosi się paradoksalnie na poczucie bezpieczeństwa. Odnosząc to do nas: może dlatego my tutaj wciąż najchętniej jemy „to, czego matka nauczyła” – jak powiedział jeden z moich znajomych, a jedzenie (według niego) nie służy wtedy tylko zapychaniu lecz oprócz walorów smakowych łączy nas z przeszłością. Nie odrzucamy współczesnych dań: kebabów, pizzy, kuchni chińskiej czy chociażby japońskiej, lecz uczucia spełnienia i sytości łączymy jedynie wtedy, kiedy połączymy je z potrawami z dzieciństwa.

To, co jemy zaświadcza więc o otaczającej nas rzeczywistości. Gdy żywność sprzedawana była na kartki, radziliśmy sobie podobnie do innych ludzi w trudnych czasach (np.: w wyżej wspomnianej Portugalii), tworząc dania i desery na miarę możliwości. Na miarę możliwości tworzyliśmy wtedy też jakość naszego życia. Wyobrażam sobie, że tak samo ograniczony jadłospis mieszkańców naszego miasta z jego początków miał duży wpływ na ich postrzeganie świata, aspiracje i codzienne zachowania. Nie wiem, jakie kiedyś tutejsi mieszkańcy snuli marzenia konsumując dzień po dniu zupę piwną, wiem jednak na pewno, że dziś na talerzach mamy to, co już wcześniej tutaj smakowało innym, a nam te upodobania przekazano. Wiem też, że niektórzy mają ochotę na kulinarne zmiany, inni zaś wolą trzymać się wypróbowanych przepisów. To tak jak w życiu: jedni wolą trzymać się sprawdzonych zasad, drudzy chętnie wprowadziliby zmiany w funkcjonowaniu świata. Co za tym idzie: zawsze liczy się równowaga i warto przestrzegać kulinarnych tradycji, tak, jak ważną kwestią jest, aby kuchnia regionalna otwierała się na nowe wpływy. Gdyż kuchnia tak, jak i my, podlega teorii ewolucji.

Jak nas widzą inni?

Mieczysław Orłowicz, znany autor przewodników, przemierzając kiedyś Mazury zawitał również do Olecka i spisał o nim swoje wrażenia. Były to informacje historyczno-

geograficzne połączone z osobistymi refleksjami autora, które ograniczały się jedynie do architektury gmachu starostwa i wnętrza kościoła ewangelickiego oraz katolickiego – jeśli chodzi o oferowane przez miasto atrakcje. W osobnych spostrzeżeniach więcej miejsca poświęcił jedynie oleckim kolejom lokalnym, które go widać fascynowały. Dziś informacje o naszym mieście trafiają również do przewodników i warto je przeanalizować, aby zadać sobie pytanie o to, jak nas widzą inni?

Od kiedy zaczęto pisać przewodniki odgrywały one także w jakiś sposób rolę propagandową zachwalając walory regionu i ludności go zamieszkującej. Mieczysław Orłowicz dotarł tutaj kiedy Olecko zwane było jeszcze Marggrabową, niewiele później wprawdzie wiele rzeczy uległo zmianie. Miasto rozwinęło się i dwa kościoły oraz budynek starostwa nie były już jedynymi atrakcjami turystycznymi. Dziś wiele osób sięga po spuściznę M. Orłowicza, niektórzy sami na nowo piszą naszą historię. Poznajemy ponownie miejsca, o których przez ostatnie pięćdziesięciolecie milczeliśmy. Odkrywamy tajemnice kusząc niewydobytymi skarbami i legendami. Wracamy do zapomnianych autorów, staramy się utrwalić wspomnienia tych, co jeszcze mogą coś powiedzieć o czasach, których my już nie pamiętamy. Nie zmienił się natomiast od wieków jeden fakt: wciąż mamy problem z nazwą miasta, co widać w rozmaitych publikacjach.

Tak, jak na początku mieszkańcom naszego miasta i ludziom spoza niego, nazwa sprawiała kłopot, tak i sprawia ona nam do dziś. Kiedyś wynikało to z chęci przypodobania się Albrechtowi oraz z czysto formalnych pobudek, gdyż powinno ono przyjąć nazwę od miejsca, w którym stał zameczek – miejsce, gdzie zwykł bawić od czasu do czasu ów Albrecht, i gdzie miasto założono. W wyniku pomieszania interesów i zwyczajów przy nadawaniu nazw (a też przez to, że miasto powstało od niczego, a nie jak to zwykle bywa, wieś już istniejąca przekształciła się nabywając prawa miejskie) od 1560 roku mieszkańcy miasta obarczeni zostali niejako rozdwojeniem jaźni, a funkcjonująca, według M. Orłowicza, przez pewien czas dwuczłonowa nazwa Marggrabowa-Oletzko także nie rozwiązała tego problemu. Problem powiększył się jeszcze bardziej, gdy zdecydowano wprowadzić nową nazwę miasta nazywając je Treuburgiem. Przyglądając się okolicom Olecka zauważyć można, że nie tylko samo miasto, ale i okolice zostały niejako zarażone plagą niekonsekwencji w nazewnictwie. Nazewnictwo to przeszło kolejną transformację, kiedy tłumaczono je w pośpiechu na język polski. W wyniku tego wciąż trudno niekiedy odszukać pewne miejsca, lub sprawdzić bardziej istotne informacje bez żmudnych weryfikacji. Nie wszyscy autorzy przewodników się w tym odnajdują, nie odnajdywał się także M. Orłowicz, gdyż nie uniknął kilku błędów. Pozostawił nam jednak cenne refleksje, które są ciekawym opisem tamtych czasów.

Aktualnie przewodników turystycznych na rynku nie brakuje jednak o Olecku pisze się jednostajnie, wciąż tak samo wykorzystując jedynie fakt największego rynku i legendę założycielską. Jak piszą dzisiejsi wydawcy przewodnika M. Orłowicza „mimo, że ostatecznie zredegowany w gorącym okresie plebiscytów na Warmii, Mazurach i Powiślu, zachował resztki ducha „la belle époque” – końca XIX w., której obca była nienawiść narodowa i zakłamanie”. Duch „la belle époque” bardzo mi odpowiada i niechaj aktualnie także utrzymuje się w nastrojach miasta, gdyż niestety na rozdwojenie jaźni historycznie jesteśmy skazani, czy tego chcemy czy też nie. Nikomu przecież nie wolno odbierać wspomnień, a autorzy przewodników jakoś się w tym bałaganie odnajdą.

Czy jesteśmy mieszczanami ?

Oleccy mieszczenie z początków miasta to byli prości rolnicy. Jeśli któryś nie znał się na koniach, krowach oraz wszelkich uprawach to był raczej pośmiewiskiem dla innych i na pewno nie był w ich oczach pełnoprawnym mieszczaninem. Dziś definicja "mieszczanin" nie łączy nas już z uprawą ziemi, chociaż ta wciąż jest obecna w życiu miasta. Wystarczy przyrzeć się teraz, w okresie wiosennym, ile osób pielęgnuje swoje ogródki. Jakie są aktualnie nasze związki z ziemią i czy jesteśmy mieszczanami?

Według słownika, mieszczanin „to obywatel miasta czyli osoba wolna i podlegająca prawu miejskiemu”. Tak było zawsze i tutaj lecz z małym wyjątkiem: codzienność regulował podobnie jak w innych miastach wilkierz, a poza tym także zajęcia typowo wiejskie. S. Lenz czy też F. Skowronnek opisując mazurskie życie wiele miejsca poświęcają pracy na roli, która wyznaczała rytm życia. F. Skowronnek używa nawet pejoratywnego określenia „mieszczuchy” dla tych, którzy nie mieli pojęcia dajmy na to o koniach, chociaż nie różniło go od nich pochodzenie, lecz jedynie posiadana wiedza praktyczna. Pomimo, iż F. Skowronnek, gdy spisywał swoje spostrzeżenia, kształtował również swój światopogląd nieprzychylny Innemu, to warto na jego przykładzie przyrzeć się, jak wtedy także i w historii naszego miasta dochodzi do pewnego paradoksu: z jednej strony ludność tu mieszkająca dostosowała się do słownikowej definicji „mieszczanina”, z drugiej zaś, zupełnie od niej odbiegała. Nie chcąc być mieszczuchami, nie miała nic przeciwko, aby być mieszczanami. Być może kryło się za tym coś więcej, gdyż od początku powstania miasta ludzie w nim mieszkający byli zawieszani pomiędzy dwoma definicjami oznaczającymi przecież jedno i to samo.

Jeśli więc byliśmy tu kiedyś mieszczanami, lecz o silnym związku z ziemią, to poniekąd nie byliśmy mieszczuchami, chociaż przecież i do mieszczuchów nam nie było daleko. Według źródeł („Dzieje Olecka 1560-2010”): „Mieszczenie oleccy żyli głównie z uprawy przydzielonej im ziemi (siali żyto, owies, jęczmień, rzadziej pszenicę, groch). [...] W mieście hodowano drób, trzodę, konie i rogaciznę. Zwierzęta hodowlane wypasano na miejskiej łące, a konie na specjalnie wydzielonym pastwisku (Rossgarten). Tylko nieliczni mieszkańcy trudnili się rzemiosłem i handlem. Na parcelach, oprócz domów, znajdowały się budynki gospodarcze: szopy, stajnie, stodoły. Mieszkańcy Marggrabowej posiadali też przydomowe ogródki warzywne oraz sady, dodatkowo na gruntach za miastem uprawiali warzywa”. Tak więc, zanim wykształciły się prężnie działające rzemieślnicze cechy, które były zaczątkiem inaczej już postrzeganego mieszczaństwa, to sialiśmy, oraliśmy i zbieraliśmy mozolnie owoce naszej pracy jednocześnie po raz kolejny płacząc nasze losy.

Jak wiadomo, w późniejszym czasie mieszczaństwo przekształciło się w burżuazję i dziś niekoniecznie jest synonimem mieszkańca miasta, w międzyczasie także wyodrębniła się grupa drobnomieszczaństwa. Definicje te brzmią przestarzałe, chociaż realnie zaświadcza o podziale społeczeństwa i doskonale wpasowują się w historię naszego miasta, gdy podda się ją analizie. Niewątpliwie pomimo, że przez wieki ludność napływała bezustannie do Olecka, a kultury się przenikały, wciąż z nadejściem sezonu mozolnie uprawiamy nasze ogródki i jest to może także ekwiwalentem czegoś utraconego na rzecz miejskiego, wygodnego życia. Kontakt

z naturą lub, parafrazując Kandyda Woltera, być może drzemie w nas świadomość, że trzeba uprawiać swój ogródek i robimy to na swój sposób. Gdy jesteśmy bliżej ziemi to jesteśmy mieszczanami jak dawniej, żyjąc spokojnie, z dala od zgiełku świata. Gdy ogrodem jest nasz wewnętrzny potencjał, być może stajemy się mieszczuchami. Możliwe, że wciąż najlepiej jest łączyć w sobie te dwie definicje i my to po prostu wiemy.

Czy mamy jakieś dziedzictwo ?

Jeszcze nie rozleniwiają nas letnie miesiące, ale jest już wiosna, która przypomina o ulotnościach i daje namiastkę urokliwych chwil na łonie natury, kiedy to mazurska ziemia wreszcie odmarza, a my możemy zdjąć ciepłe ubrania. Cieszymy się wtedy zielonością, wolnością, naturą. Wszystko to jest w jakiś sposób tu na Mazurach wciąż nam oczywiste. Czy tak jest na pewno? Hamsun pisząc „Błogosławieństwo ziemi” ukazał znój dnia codziennego dalekiej Północy, jak i jego radości. Ukazał świat, który przemija, chociaż poprzez pochwałę prostego, surowego życia i powrotu do niego, może trwać. Czy ta skandynawska wizja może być także i naszym wzorcem? I czy my mamy jakieś dziedzictwo?

Co to jest dziedzictwo? Dziedzictwo narodowe, regionalne, kulturowe – brzmi to urzędowo i archiwizująco. Według tych schematów to są wartości, tradycje i obyczaje. Człowiek wciąż musi jakoś sobie świat układać, aby się w nim odnaleźć, ale czy aby na pewno tylko o takie dziedzictwo na Mazurach chodzi? Gdyby tak było, to przecież, otwierając się teraz na przeszłość, musielibyśmy zacząć pielęgnować także i obyczaje, które są dla nas zupełnie obce, obchodzić święta, które nie są naszymi świętami. Pielęgnować zaś to, co jest teraz naszą obyczajowością tworzymy jedynie nowe dziedzictwo. Porządkujemy schedę, zaznaczamy swoją obecność i jednocześnie alienujemy się od tych, co tutaj należą już do przeszłości. Nie zastanawiamy się nad tym zbyt myślicznie, że inaczej nie można, niemniej być może jest coś, co warto pielęgnować, jako prawdziwe dziedzictwo, gdyż jest wspólne dla wszystkich.

Kiedy Knut Hamsun wydawał swoją powieść w 1917 roku Mazury miały z jego wyidealizowaną Skandynawią wiele wspólnego. Hamsun szybko otrzymał nagrodę Nobla (już w 1920 roku) i zaczął następnie niebezpiecznie popadać w skrajne poglądy, tak był zniesmaczony epoką industrializacji. W tym samym czasie na Mazurach rozpoczął się czas prosperity. Zwyciężały powoli nieprzychylnie otwarciu ideologie, ale ludzie wciąż jednak cieszyli się światem, za którym u siebie Hamsun już tylko tęsknił łącząc się z nimi przekonaniem. Czytając liczne wspomnienia dawnych mieszkańców Mazur widzimy świat wyidealizowany, pełen harmonii i ładu, jak u Hamsuna. Łany zboża, zapach lata, rwące rzeki i jeziora pełne ryb. Wolność i swoboda na piaszczystych drogach, galop rozpędzonego konia, piknik, spacer po rozgrzanym rynku w niedzielne popołudnie. Ciężka praca, która uszczęśliwiała człowieka odciągając go od złego świata. Wiemy, że ten sielankowy obraz jest wynikiem utracenia dziecięcej krainy szczęśliwości, opuszczenia jej na zawsze. Wszystko to rozumiemy, lecz być może powinniśmy rozumieć jeszcze więcej, bo przecież i my mamy

takie same tendencje do przedstawiania naszego życia na Mazurach, szczególnie, jeśli wspomnieniami wracamy do przeszłości.

Nie ma sensu bronić teorii, że jest jakiś jedyny słuszny model życia, który uszczęśliwi człowieka. Świat postępu nie musi wносить jedynie samych nieszczęść, tak, jak wtórne cofnięcie się do życia w zgodzie z naturą może być wielce groteskowe. Nie będziemy przecież żyć tutaj na Mazurach, jak dawni chłopci, bo szczerze wątpię, czy to się uda, jak i w tego sens, ale region Mazur tworzy nasze emocje, jak dawniej u prostego człowieka. Świadomość roli tego, co wokół, powinna łączyć nas również z czasami, kiedy jeszcze tutaj nie mieszkaliśmy. Już przecież Marion Dönhoff pisała, jak bardzo tęskni do tej mazurskiej atmosfery. Jej emocje są dziś dla nas całkowicie czytelne, gdyż czujemy taką samą nostalgię związaną z regionem. Wciąż jednak jest jeszcze wiele „końców świata” na Mazurach i to jest nasz największy urok. Niezależnie od tego, kto i ile czasu tutaj mieszka lub mieszkał, teraz, czy wcześniej, będzie czuł, że wszystko wokół, mimo powtarzalności jest krótkotrwałe. Nim zdążymy się nacieszyć, już tego nie ma, ale pozostaje obietnica, że za rok znów będziemy mieli chwile szczęśliwości i kojącej estetyki natury. Być może, więc niedosyt tworzący idealistyczne wizje przeszłości to nasze największe dziedzictwo. Ponadczasowe dziedzictwo wspólnych sentymentów.

Miejsca, które są, ale już ich nie ma.

O tęsknocie, tej tu kiedyś, pisało już wielu. Tęsknota do miejsc, co do których mamy świadomość, że my jeszcze nie zdążymy przeminąć, a o nich już będą tylko krążyć opowieści i wspomnienia, jest tęsknotą znacząco wpływającą na duszę mazurską i tą, nad tematem której coraz częściej się pochylamy. Jak to jest z tym przemijaniem i czy aby wszystko musi przemijać?

Przemijają ludzie, przemijają miejsca. Niby normalna kolej rzeczy, ustanawiamy obyczaje, aby ból złagodzić, a utracone miejsca staramy się zastępować innymi. Naukowo podchodzimy do czasu, z nadzieją, że kiedyś wiedza o nim pozwoli nam zmieniać rzeczywistość, a sam czas uczyni bardziej elastycznym, przy czym, emocje i tak tworzą na zapas wspomnienia. Tak jest i z nami. Świadomość, że wszystko przemija tworzy naszą unikalną duszę mazurską. Żyjemy w czasach nostalgicznych, gdyż wszystko wokół jest zagrożone, i my trwamy z tą wiedzą, bo i tereny mazurskie są na te przemijanie bardzo narażone. Być może warto w sobie pielęgnować tę tęsknotę mazurską, lecz także trochę być ponad nią. Ulepszyć o ewentualną możliwość przedłużenia trwania mazurskich krajobrazów.

Wiele osób mówi o tym, że świat na starość widzą inaczej. Że nabierają dystansu i innej perspektywy. Rejestrują siebie i swoje rodziny dla przyszłych pokoleń, archiwizują to, co zanika, jeszcze głębiej przeżywając każdą minutę swego życia. My zaś tutaj to mamy w genach od urodzenia, lub przynajmniej od czasu zamieszkania, „to” czyli wspomnianą powyżej świadomość przemijania i krótkotrwałości oraz konieczność archiwizacji. Według S. Sontag „fotografia jest jednym z najważniejszych wynalazków umożliwiających doznanie

czegoś, tworzących pozory uczestnictwa" - to stwierdzenie, pomimo, iż dotyczy tematyki zupełnie odmiennej, przywodzi mi na myśl tutejsze krajobrazy. Piękne landszafty, które widzimy na co dzień, wciąż bądź co bądź wyrwane z kontekstu społeczeństwa przemysłowego, są jak dzieła sztuki, które pozwalają nam doznawać i współistnieć (i nie dotyczy to jedynie tego, co stworzył lecz tych także, co patrzają). Mazurskie doznawanie jest ściśle związane z estetycznym patrzaniem, z wciąż pokutującym poczuciem nieosiągalności i zarazem świadectwem naszego istnienia oraz pozytywnym sentymentalizmem. Patrząc mamy także namiastkę tworzenia. To, co wokół gwarantuje nam więc również długowieczność, jeśli nie wieczność, ale i także daje poczucie chwilowości tworząc uczucie tęsknoty, być może do nieukończonego dzieła, wywołuje pozytywne emocje.

Spokój jeziora, wolność wokół niego, okoliczne lasy i pola oraz cisza pozwalające zebrać myśli to te pozytywne uczucia. Priorytety rozwoju miasta i regionu, całkowicie zrozumiałe, powinny brać pod uwagę również te mazurskie tęsknoty człowieka, bo bez nich nie jesteśmy Mazurami, a czuć je możemy jedynie gdy wciąż mamy przed oczyma to, o co tak się boimy, że utracimy, chociaż przecież wcale tego utracić nie musimy. Bo nie będziemy przecież tęsknić do hałasu i ogrodzonych drutem kolczastym przejść nad jeziorem oraz zmian nieodwracalnych, niekoniecznie podyktowanych logiką, pomimo wyrozumiałości dla wspomnianych powyżej priorytetów rozwoju miasta i regionu. Poszanowanie mazurskości i mieszkańców Mazur z ich ścisłym związkiem z naturą jest także rozwojowe. Tak, jak i zapach tataraku, śpiew ptaków i plusk ryb. Jak cisza i jak spacer lub jazda rowerem od lat po tych samych, ulubionych trasach. Jak pierwszy cień z ledwo rozwiniętych liści w słoneczne, majowe popołudnie zapowiadający letnie sjesty i przygody - taki tęskny landszaft, ale ze świadomością, że to wszystko może trwać.

Gdzie tkwi piękno życia?

Feliks Jordan-Lubierzyński, jako jeden z pierwszych osadników w naszym mieście również, jako pierwszy zastanawiał się nad kwestiami, które wówczas chyba niewielu obchodziły. W publikacji autorstwa Tadeusza Gicgiera „O człowieku, któremu wystarczał ogarek” zamieszczony jest fragment listu, w którym Feliks Lubierzyński wypowiada się na temat potrzeby zrozumienia samego życia. Jak to jest z tym życiem i czy aby my na pewno tutaj mamy więcej czasu, aby się nad nim zastanowić i czy się nad nim zastanawiamy?

Koniec świata (Mazury) rządzi się zawsze swoimi prawami, a jego pozorne uśpienie sprzyja także filozofii. Nie dotyczy to tylko nas, ale również i innych ludzi, gdzieś z różnorodnych końców świata. Feliks Jordan-Lubierzyński był (i chyba takim pozostanie) człowiekiem nieodgadnionym, a przez to inspirującym. Kiedy w mieście pierwsi jego mieszkańcy borykali się z przyziemnymi sprawami, on oprócz ciężkiej pracy na rzecz poprawy bytu (piastował stanowisko burmistrza) rozwijał także inne sfery życia i zakładał Koło Przyjaźni Polsko-Indyjskiej oraz inspirował się historią regionu. Trudno dziś podsumować, czy też nawet nadać ocenę działaniom i zachowaniom ówczesnych ludzi, nadmiernie wartościować pewne poczynania, a innym odbierać ważność, można jednak

przypomnieć sobie niektóre sprawy, które były dalekie od tamtych czasów, a przy tym być może doskonale wpasowują się w aktualny rytm i kierunek świata. Bo przecież wszyscy dziś po trochu chcemy, aby życie upłynęło nam pięknie, wszyscy też wcześniej czy później zaczniemy się zastanawiać, na czym ono tak naprawdę polega.

Feliks Lubierzyński w liście do swojej córki, cytowanym w wyżej wspomnianej książce Tadeusza Gicgiera, pisze o konieczności wypracowania doskonałości wewnętrznej, o rozmyślaniu nad stosunkiem do życia, do ludzi, nad prawem przyczyn i skutków. Czytając jego słowa z jednej strony można zobaczyć człowieka niewątpliwie zainspirowanego buddyzmem, z drugiej zaś artystę i człowieka zainteresowanego światem, bądź, co bądź redaktora „Przeglądu Artystycznego” oraz autora m.in.: dramatu „Dzwonnik” oraz sztuki „Iluzje” wystawionej w poznańskim Teatrze Polskim. Feliks Lubierzyński wyraźnie chciał zrozumieć, gdzie tkwi piękno życia, a Mazury do tej refleksji doskonale mu pasowały, pomimo zapewne także i jego tutaj zagubienia. Wiedział, że ludzie upatrują piękno życia w wielu jego aspektach: spełnieniu, relacjach z drugim człowiekiem i także w tym, co wokół. To, co wokół może tutaj zredukować refleksje do pochwały natury, może także te refleksje w harmonii z naturą rozwijać. Dla Feliksa Lubierzyńskiego piękno życia niewątpliwie polegało na rozwoju wewnętrznym i pogłębianiu świadomości. Być może, dlatego wybrał to miasto i w nim pozostał, gdyż widział jego potencjał. Potencjał ludzi i regionu, którzy może jeszcze wtedy tego nie rozumieli, zaangażowani bardziej w budowę miasta, a nie własnej refleksji, chociaż mieli zapewne już ją w jakiś sposób wypracowaną.

Fascynacja prostymi sprawami, „prawdziwymi” ludźmi i ich refleksjami filozoficznymi na temat życia oraz skomplikowanymi losami (tak typowymi dla naszego regionu) przyczyniają się do dalszych rozważań. Wiedział to Feliks Lubierzyński, wiedział to także zapewne i Waław Klejmont, który potrafił krótko i mądrze obserwować rzeczywistość z naszej perspektywy. Wiedzieć to także powinniśmy i my. Może i żyjemy w dziczy, na końcu świata, ale daleko nam do dzikusów, a i tej dziczy nam dzisiaj wielu zazdrości widząc w niej siłę naszych charakterów. Warto to w nich pielęgnować, ale przede wszystkim warto z Mazur wyciągać dla własnego rozwoju intelektualnego jak najwięcej korzyści. Odpowiedź na zadane przez Feliksa Lubierzyńskiego pytanie nie jest prosta, ale to pytanie należy sobie wciąż zadawać.

Jakie miejsca są najpiękniejsze?

Widząc krowy pasące się w cieniu drzew owocowych mam wrażenie piękna, chociaż ktoś złośliwie powiedziałby, że to piękno na miarę możliwości rolniczego regionu. Krowy chowające się od upałów przy stawkach, kilka brzózek wokół, szum pszczół na okolicznych polach i żółty rzepak oraz zieleń pól – niech mówią, co chcą, to jednak jest klasyka piękna niejednokrotnie opiewanego. Ale jak to z tym pięknem jest? Czy nie jest zwodnicze i czy nie lepiej jest podziwiać mazurski świat jedynie przelotnie, z samochodu, bo żyć w nim jest już zupełnie trochę inaczej?

Z krowami w przydomowym sadku to jest tak, że są doskonale na swoim miejscu i chcąc docenić Mazury należy je tam zostawić. Człowiek wtedy jest w tym sadku w zasadzie niepożądany. Co rusz wdepnąć może w nieczystości, piknik w stylu angielskim jest trudny do zrealizowania, a jabłka zebrane z ziemi też niewiele mają wspólnego z romantycznymi wizjami postrzegania związków z naturą. A jednak, pomimo to, sad z krowami wciąż jawi się, jako kwintesencja piękna i to właśnie krowy doskonale tam są na swoim miejscu. Bez nich świat wokół nie byłby tak idealny. Nie jest to może świat podobny do tego, opiewanego przez francuskich impresjonistów, bo przecież „Śniadanie na trawie” wciąż miałyby jakieś realne sęki - krowie placki, dosłownie rzecz ujmując. Bowiem Mazury to świat bardzo realny i zanurzony w jak najbardziej realnym obrazie piękna. Warto o tym wiedzieć zanim wysiądzie się z samochodu.

My mamy komary, nie zawsze przyjemne zapachy, nieprzewidziane wahania temperatury, sady pełne krów. Gdy malowniczość regionu ukazuje się z okien samochodu pozbawiona jest tych aspektów, i wszystkiego, co z nimi jest związane. Pól użyźnionych nie czuć tak bardzo, krowy zlewają się barwami z zachodem słońca, a ze stawków dochodzi kojący rechot żab. Z okien samochodu nie widać życia, którego doświadcza się, gdy tylko na dłużej gdzieś tu się pobędzie i gdy dopada człowieka cena za piękne krajobrazy, za którymi kryje się świat już mniej wyidealizowany. Wystarczy spytać kogoś z zewnątrz, kto zauroczony regionem stara się w nim zamieszkać na dłużej. Na Mazurach o dystans do natury jest ciężiej, a krowy w owocowym sadzie są dosyć czytelną symboliką wartościującą pozycje człowieka wobec zwierzęcia w tym regionie. Niedostępność jest tutaj synonimem namacalnej, wiejskiej rzeczywistości.

Mazury wciąż przyciągają i potrafią zauroczyć pomimo spraw, które niewiele mają wspólnego z nieskazitelnym pięknem. Piękno okupione jest wieloma wyrzeczeniami i często trwa tylko chwilę, ale zauroczenie regionem równie często przechodzi w solidną miłość, chociaż jeśli chodzi o uczucia do drugiego człowieka, to pewnie doszłoby do ich wypalenia, gdyż wiele mazurskich spraw odsłania swoje drugie oblicza i komplikuje się lawirując nierzadko na granicy dramatu. Bo w Mazurach estetycznie najpiękniejsze są wiejskie miejsca, w których nie ma człowieka, gdzie może on jedynie przez chwilę poobserwować, pobycć tylko trochę. A jednak, pomimo tej wiedzy, zauroczenie trwa. Być może sekret tkwi w tym, iż ogólnie wiadomo, iż ten region nie jest pozbawiony prozy życia, codzienność nie jest tylko różami usłana, i proza życia w takiej sytuacji nie jest decydującym elementem do rozczarowania. Wręcz przeciwnie, dodaje wartości, chociaż człowieka tym samym czyni mniej ważnym. Najpiękniejsza, więc tutaj jest nieosiągalność i bezradność ludzka wobec natury, oczarowanie chwilą, urywkiem krajobrazu. Krowy królujące w sadzie owocowym wydają się być czymś najnormalniejszym na świecie. Bowiem za tę dla nas niedostępność sadu w zamian dostajemy sporą dawkę nieprzekłamanego piękna.

Ewa Kozłowska